

Piosenki starego serca

Jakub Winiarski, *Piosenki starego serca*
© Copyright by Jakub Winiarski, 2011

Seria Poetycka Oficyna SŻP
X Tom Serii Wydawniczej
Pisma Literackiego „Red.”
2011



Redaktor serii: Ryszard Chłopek
Redaktor tomu: Radosław Wiśniewski

ISBN 978-83-61381-06-8

Wydawca:
Klub Integracji Twórczych
„Stowarzyszenie Żywych Poetów”
2011

Projekt okładki:
Tomasz Fronckiewicz
Zdjęcie autora na okładce:
Mirosława Kowalczuk
Skład i łamanie:
Lena Jedlicka

Druk i oprawa:
www.opolgraf.pl

Jakub Winiarski

Piosenki starego serca

I

Dolce stil nuovo

Znałem jednego liryka, żonę siekierą zabił.

Jan Himilbach

Wróbelek

...pod twój mały dzióbek.

Katullus

Wróbelek od Katullusa wyrósł na spore ścierwo.
Nienawiść jest drogocenna. Wciąż kochać i nienawidzić.
Nienawiść jest pożyteczna. Wciąż kochać i zapominać.
Wróbelek od Katullusa wyrósł na spore ścierwo.
Codziennie drapieźnym dziobem wbija się w moje kości.
Rozbija czaszkę, patroszy. Energia krąży we wszystkim.
Jest w bólu i podnieceniu. Energia krąży we wszystkim.
Spodziewam się, że wybuchnie. Rozniesie wróbelka na strzępy.
Wróbelek wyrósł na ścierwo. Zabawnie wciąż podskakuje
Na swoich króciutkich nóżkach. Pod czaszką mam dziki loskot.
Nienawiść jest pożyteczna. Zapomnieć jest bardzo dobrze.
Energia krąży we wszystkim. W miłości i nienawiści.
To rośnie niepostrzeżenie. Obieg zamknięty mam w sobie.
Wybuchnie lub nie wybuchnie. Spodziewaj się, że po prostu.

Piękno jasnych sytuacji

Jesteś niezła, naprawdę dobra.
I laska z polykiem w twoim wykonaniu
Jest prawie tak bajeczna, jak rżnięcie *w kakao*.
Powiedzmy, że to komplement. Zdrowo zapracowałaś
Na niego, ruszając tyłkiem i pojękując wdzięcznie;
Dodając też słone słówka, które odwzajemniałem.

Początki, muszę powiedzieć, nie były romantyczne:
Chciałem cię wyruchać, no i wyruchałem.
Broniłaś się słabo. Bardziej dla pozorów.
Wystarczyło krzyknąć, by nic się nie stało,
Ale nie krzyknęłaś. Woląłeś ten teatr
Z udawaniem cnotki, która jeszcze nie wie,

Czy woli do buzi, czy najpierw do rączki.
Chyba zresztą miałaś chęć na wszystko naraz.
Dziś mnie to nie dziwi. Wiem coś o tych sprawach
I nie powiem nigdy, żeśmy – się kochali.
Naprawdę nie trzeba w niczym więcej kłamać.
Piękno można takie, jak było, ocalić.

Edukacja sentymentalna

Nie jesteśmy razem. Już cię nie pierdolę.
Nie słyszę jak prosisz: „Zerżnij mnie jak sukę.
Tak cię kocham, proszę: zerżnij mnie jak sukę.”
Nie jesteśmy razem. Już o to nie prosisz.

Żadnej aury wewnątrz, blasku nad ciałami.
Tylko to, co lekko unosi się w pustce:
Zimnooka luna. Stygnący mechanizm.
Jeśli coś, to tylko: parodia otchlani.

W nocy już nie czuję jak wbijasz paznokcie.
Już nie piecze skóra cięta szybkim ruchem.
„Chcę być twoją szmatą. Zerżnij mnie jak sukę.
Wypierdol mnie mocno. Tak cię kocham. Proszę.”

Nie prosisz już o to. Lub kto inny słucha.
Tutaj tylko echo. Tutaj tylko pogłos.
Nie jesteśmy razem. Tutaj tylko echo.
Może nic nie było. Wtedy tam. Nikogo.

Gnoza

Ile razy szczęśliwa leżałaś pode mną
Jak zaspokojone, wydymane ścierwo?
Jak odurzone życiem, błogosławiące mięso.
Jak niepojęta bestia, zbudzona dla siebie samej.

*Dlatego podziwiam twój spokój, gdy mówisz o nowej miłości.
Dlatego podziwiam twój spokój, gdy mówisz o nowej miłości.*

*Jest taka niezwykła i czysta.
Niezwykła i czysta.*

Takiej nie znalazem.

Szron

Dobijam na zimno. Ani jedna kropla
Nie ma prawa wyciec, gdy tak cię posuwam.
Ani jedna kropla potu nie ma prawa
Zjawić się na skórze. Dobijam na zimno.

Nie będzie inaczej. Tak to zapamiętam.
Ten płynny szron we krwi. To ciemne powietrze.
Niczym tłok bijący ołowianym ruchem,
Przechodzę przez nicość. Dobijam i milczę.

I potem nie mówić

Chemiczne sygnały. Kres w stosownej mgielce.
Wiesz, jak jest. To miłość. Ale nie ta sama,
Której nie nazywasz. Zabawne objawy.
Śmiech pod szloch. Och, baw się.
Wrzuć na luz i poczuj wymierne korzyści.
Niech pozór na łączach srebrzy się jak trakt.

Na pewno nie czas. Różne formy braku.
I żadne *del plus*. Żaden dalszy ciąg.
Envoy: Love me, love me. And love my umbrella.
Wiesz, jak jest. To miłość. W grzywę i pod ogon.
Preludium na stykach. Finisz w pocałunkach.
Obietnica szczęścia, chociaż szczęścia brak.

I żadnego po tym słodkiego *del plus*.
Wiesz już, co jest grane. W grzywę i pod ogon.
I jeszcze raz to samo. I jeszcze. I znowu.
Aż bolesny skowyt stanie kością w gardle.
Envoy: Love me, love me. And love my umbrella.
I kto się poniża? Przecież lubisz tak.

Opór w głosie kłamie. Srebrzysz się jak trakt.
Płyniemy nim w górę, myśląc, że to kres.
Lecz brakuje mgielki. I nie ma już mnie.
Lecz brakuje mgielki. I ktoś mówi pas.
Jest tylko *umbrella*. Jest tylko *envoy*.
Żadnego *del plus*. Ktoś ci daje znak.

Wiesz, jak jest. To miłość. Ale nie ta sama.
Nie ma prawa boleć. Naprawdę masz fart.

Ta piękna, kobieca dojrzałość

To jasne, że chce się pierdolić.
A o czym ma myśleć? O nartach
W środku pięknego lata,
Gdy wokół niej wszystko spuchnięte
Z pragnienia. I ona od wielu dni cała
Tak mocno spuchnięta, obrzmiała,
Gotowa rzucić w cholereę
Te swoje dobre maniery,
Za które tak cenia ją w pracy
I na rodzinnych spotkaniach.

To jasne, że chciałaby zerznąć
Muskularnego bambo,
Lub żeby przystojny dwudziestek
Wyjebał ją aż do zdechu.
(Och, jaką dostałby lekcję
Prawdziwej *kobiecej duszy*).
Spojrzenie, jakim mnie raczy
W tym pięknym, złocistym słońcu
Streszcza mi jej pragnienia
I wściekłość jej melancholii
Z przejrzystym, zimnym podtekstem,
Jak dla mnie, aż nadto czytelnym.

A gdyby tak, myślę, jeszcze,
Przed dobrym, właściwym rżnięciem
Wydymać ją ekstra po mózgu,
Rzucając te kilka nazwisk
I parę trudniejszych wyrazów,
Cytując Lacana lub Barthes'a,
Kristevą lub Judith Butler,
Byłaby zachwycona.
I mogłaby wierzyć do końca,
Że wszystko opiera się mocno
Na trwałych i niewzruszonych
Filarach kultury klasycznej.

Inaczej

Wiesz może, kto jebał cię z większą czułością?
Ja wiem, że nikt bardziej nienawistnie nie rznął.
Lubiłem czuć kiedyś, jak chodzisz pode mną:
Wrażliwość, wdzięk, urok charakternej suki.
Lubiłem patrzeć, jak pelniesz po łóżku,
Po wszystkim, w kierunku wody mineralnej.

To było mocne. Zabójcze. Na pewno.
Oboje wspominamy ten czy tamten moment.
Jęk. Westchnienie. Ciszę. To było naprawdę
Przez jakiś czas dobre. I wiesz, że nikt bardziej.
I z większą czułością. I potem już nigdy.
Tylko raz. I ze mną. W ten szczególny sposób.

Po którym tak trudno wyczołgać się z łóżka.
I tak bez emocji palić papierosa.
Spoglądając w okna domu naprzeciwko.
Nie pragnąc niczego. Nie myśląc o niczym.
Świat mając za sobą utopiony w krzyku.
W sobie tylko pustkę. Nieskończone echo.
I nie tak, jak dzisiaj, lecz całkiem inaczej.

Magia (i romantyczność)

*Magia walenia w dupę polega na tym, że za każdym razem
jest tak ciasno, jakbyś posuwał dziewczynę.*

Chuck Palahniuk, *Udław się*

Właściwie to trudno mówić tu o magii.
Przerżnięcie na wylot byłoby o wiele
Stosowniejszym zwrotem. Wystarczy przypomnieć
Cale to kwiczenie, szaleńcze podrygi
W chwili, kiedy słowa gdzieś głęboko w krtani

Składają się w magmę, wycharczane *kocham*.
Ledwie zrozumiałe, zbite w krzyk i skowyt.
Właściwie to śmieszne: poszukiwać magii
W serii zwarć okrutnych, na granicy bólu.
A niekiedy nawet daleko poza nią.
Naprawdę daleko. I naprawdę magii.

Serduszko

Tamto posuwanie. Z serduszkiem na dłoni.
Chodziło jak zwykle o niebezpieczeństwo.

Z serduszkiem na dłoni wygląda się ładniej.
Chociaż niekoniecznie. Konieczna jest wieczność.

Konieczna jest magia. Wysoko w powietrzu
Może ci się zdawać, że zawsze masz rację.

Potem są widoki morza i okolic,
Gdzie nie ma nikogo, kogo by pólseptem

Dało się namówić na większe perwersje.
Wciąż liczą się tylko fantastyczne wersje

Wydarzeń, po których nic już nie zostało.
Tamto posuwanie. Z serduszkiem na dłoni.

Ze skronią przy skroni. Z zakłębieniem na wargach.
Z ciszą już po wszystkim bardzo doskonałą.

Piosenka o pięknej agonii

Podaruję ci kotka małego.
I misternie rzeźbioną szpicrutkę.
Żebyś mogła go chłostać, gdy zaśnie.
Żeby nigdy, przenigdy nie zasnął.

A jeśli zwariujesz od tego,
Zwariujesz na pewno ze szczęścia.
Z radości, którą odnajdziesz,
Liząc skrwawione futerko.

Podaruję ci małą szpicrutkę.
I kotka o lśniącem futerku.
A jeśli zwariujesz od tego,
Zwariujesz na pewno ze szczęścia.

I chłostać się będziesz i płakać,
Że miłość tak nagle odeszła,
A to delikatne futerko
Już nic i nikomu nie mówi.

Podaruję ci miłość tak nagle,
Że westchniesz i już jej tu nie ma.
A jeśli zwariujesz od tego,
Zwariujesz na pewno ze szczęścia.

Miło

1.

Obcy fiut w twoich ustach.
Obcy fiut między twoimi nogami.
Obcy fiut w twoim tyłku.

2.

Może faktycznie, jak mówisz,
To drobne nieporozumienie.
Ale jest szansa, że więcej.

3.

Na przykład: wysniona miłość.
Silniejsza od każdej poprzedniej.
Jedyna. Niepowtarzalna.

4.

Nie przeszkadzajcie sobie.
Nie ustawajcie w wysiłkach.
Romantyzm i wasze nadzieje –
Miło popatrzeć.

Pierwsza miłość

Pierwsza ważna miłość? Czasem i tak myślę.
Coraz częściej jednak widzę, że chodziło
Wtedy o ten pierwszy, naprawdę niezdamy,
Zarazem komiczny i śmiertelnie ważny
Łatwy seks, którego dziś dokładniej nazwać
Nie umiem, choć z seksem niewiele wspólnego
Miał, poza tym jednym, co potrafi każdy:
Wsadzić – wyjąć – wsadzić. Wykrzywić się głupio,

Czując jak wąż wspina się po kręgosłupie.
Pierwsza ważna miłość? Raczej dygot ręki
W zetknięciu ze skórą dziewczynki z tej samej
Klasy i podwórka. Ślicznej nastolatki.
Trochę piegowatej. Pulchnej i zabawnej.
Jeszcze bez kurestwa, które wyszło potem.
Tymczasem niewinnej i niedoświadczonej.
Podobnej w tym do mnie i do rówieśników.

Tak uroczo drżącej i tak melodyjnie
Ruszającej głową w czasie pierwszej laski
I wszystkich następnych. Nadrabiała miną.
I ja nadrabiałem. Dobrze nam z tym było.
Pierwsza ważna miłość? Ale co to znaczy
Dziś, gdy nie pamiętam tak wielu szczegółów?
Choć to przez nią byłem na skraju rozpaczki,
Niczym jakiś całkiem popapraną gnojek.

Teraz mnie to śmieszy. Może nawet wzrusza.
Tym bardziej, im słabiej czuję jakikolwiek
Związek z tamtym sobą, którego już nie ma.
Powiedzieć, że wspólna zostaje nam dusza,
To fałsz albo kliwość. Jest tylko ta pamięć
Z każdym dniem wyraźniej nasycona pustką.
I tylko w niej jednej tamten czas zostanie
Jeszcze przez czas jakiś. Wcale nie tak długo.

Pierwsza ważna miłość? Jak bardzo bym musiał
Sam sobie nakłamać, by nie widzieć tego,
Że to było tylko spłaceniem haraczu.
Wpisowym. Frycowym. Czy jak to tam nazwać.
Co musiałem sobą już na wjazd zapłacić,
Żeby poznać jedno z mniej poważnych uczuć.
Ani zbyt szczęśliwe, ani nieszczyśliwe.
Zwyczajne. Jak wszystko, co dotyczy ludzi.

Delikatność

Somebody loves us all.

Elizabeth Bishop, *Filling Station*

„Różnij mnie, och, różnij mnie” – dziewczęcego głosu
Tembr tak ekstacyjny, tak jasny, że znikąd

Nie mogłaby tutaj zjawić się naiwna
Myśl: to niemożliwe, to tak się nie zdarza.

„Wypierdol mnie w dupę, wyjeb mnie jak dziwkę” –
Skąd ta delikatność w jej zwierzęcych spazmach?

Ktoś tu ma w spojrzeniu zdziwienie tak duże,
Jak ten miś pluszowy, strącony za łóżko.

Ktoś trzyma za włosy, inny ktoś powtarza
Czystą mantrę pragnień swobodnego ciała.

I nie ma wspólnoty – tylko to przeraża,
Że łączą nas rzeczy przyjemne, nietrwale.

Wzajemność

Zapiął ją krótko, od tyłca. Nie było czasu na czułość.
Kwiknęła. Rasowa świnka. Jej podobało się również.

Krótkie dystanse, błogie dystanse, kiedy się leci w ślinę.
Chwyta spocone biodra. Pieści i głaszczce pośladki.

Oddycha szybciej. I szybciej. Kończy niemalże z bólem.
I delikatność bezradna pojawia się samoistnie.

W gwałtownym śpięciu. Pomiedzy. Wstydliva i staroświecka.
Widoczna w jednej odsłonie. Obecna. I nieobecna.

I tylko, wyobraź sobie, kiedy ma paść już to słowo,
Ktoś kładzie palec na ustach – i ono nigdy nie pada.

I tylko, wyobraź sobie, kiedy już leżą w ciszy,
Nie myślą o wzajemności. Ani w ogóle niczym.

Morfinowe fikcje

*...prawdę mówiąc, gimnastyka twarzy to bzdura. Jedyнным skutecznym ćwiczeniem, jakie znam, jest obciąganie pały.
Nie żartuje, nic tak nie wzmacnia szczęki.
Truman Capote, *Spełnione życzenia**

Patrzcie sobie w oczy, kiedy mu obciagasz.
Masz atropinowe źrenice, masz sarnie
Spojrzenie. Zimna tafla błyszczący. Delikatnie,
Wilgotnym koniuszkiem języka dotykasz
Zakończeń nerwowych. Tylko tym jest rozkosz.
I nic w niej wspólnego z bajką o czułości.
Wzajemność, intymność – morfinowe fikcje.
Oddychacie po tym normalnie, osobno.
Śniąc sny eleganckie o nowych kontekstach.
Podróżach. Kochankach bezbronnych pozornie.
Euforycznie marząc. Tonąc w endorfinach.
We własnych umysłach, odległych skutecznie,
Przywołując widma dawnych, trwalszych nocy.
Gdy pożar był nagły i ogarniał wszystko.

Dalej nic

Czytałem Propercjusza *Elegię osiemnastą*,
W której mowa o miejscu odludnym dla żalów.
O szyderstwie nagród w postaci boskich źródeł.
O chłodzie skal i ciszy w głębi dzikiego lasu.
Czytałem i myślałem, jak mógłbym teraz nazwać
To wszystko, co się stało. I jak o tobie mówić.

Że dupa fajna z twarzy? Że szczerze: jest co bzyknąć?
Że w sumie nie ma mowy, bym kiedyś dał się nabrać
Na numer w takim stylu. Czytałem Propercjusza.
I nie wiem, czy to dusza, lecz coś na pewno było,
Co chciało czytać dalej. Więc dalej nic: czytałem.
Łowilem fantomowy chłód Cyntii dawno z czaru

Odartej, groteskowej, niesionej w słowach trupich.
Tracących z każdą chwilą, bo pełnych wyznań głupich,
O których takim tonem bez sensu było mówić.
Propercjusz zapowiadał czas skarg i upokorzeń.
I przewalony frajer mógł czuć się znacznie gorzej
W kolejnych ksiąg zjadliwych, bezradnych woluminach;

W *Elegii osiemnastej* miał jeszcze mnóstwo złudzeń.
Tu jeszcze go wabiła, zwodziła lekka Cyntia.
Jej przymrużone oczy. Kształt jej opiętych sukien.
Ten głos rozpoznawalny, gdy dźwięcznie wymówiła
Znajome, puste *kocham*, nim znikła – też w znajomy,
Tak rzeczywisty sposób, że aż się obudziłem.

A książka? – Spadła cicho. Leżała koło łóżka.
Podniosłem się. Syknąłem. To tylko pusta puszką
Znalazła się pod stopą. Jak szyszka z głębi lasu
Na moment przeniesiona. Wyjęta ze snu. Ostra.

Ćwiczenia praktyczne z zachwytu i smutku

Lecz niech to pani już nie niepokoi.

Aleksander Puszkina, *Kochałem panią*

Prolog

Seksowny blyszczyk. Torebka od Prady.
Syte ruchy ciała w miodowej karnacji.
Głos ciepły. Głęboki. Bardzo delikatny,
Gdy rzuca to swoje: „Bez gumy za stówkę.”
A ja mam ochotę zanucić jej cicho:
„Wo Willst Du Hin?”, dziecko. Lub coś podobnego.
Wstrzymuje mnie tylko spojrzenie tak zimne,
Że też mówię krótko: „Francuz. Potem anal.”

I.

Zapinam koszulę i wspominam tamten
Pierwszy raz w agencji. Chwalili ją prosto:
„Słodka ruchawica. Czyste jebadelko.
Na pewno pan zechce jeszcze do niej wrócić.”
Słuchałem na luzie. Taksowałem mięsko.
Wyglądało dobrze. Prawdę mówiąc: ekstra.
Dziś wiem nieco więcej. Możliwe, że wszystko.
Młócona na dwa baty Bóg wie, ile razy.

Pieprzona na wszystkie zwierzęce sposoby
Nie tylko przeze mnie, lecz już przez tak wielu,
Że wolę nie pytać. Zresztą, to nie wywiad.
Wspólnych zdjęć nie będzie. Ani esemesów.
Ona nawet nie wie, jak ja mam na imię.
A ja nie chcę wiedzieć, kim może jest ona.
Studentka? Przyjezdna? Młoda antropolog?
W tej chwili jest seksem i ja jestem seksem.

Nie kocham jej całej, lecz trochę ją kocham.
Zapomnieć jest trudno, a miłość tak krótka.
Tonimy w jasności. Dla grozy brak skali.
Nie kocham jej, pewnie, lecz kiedy z nią jestem,
Szepczemy do siebie w językach miłości.
I widzę jak radość zajmuje w niej miejsce
Puste i niczyje; przez chwilę anielskie.
Targi były krótkie, cena bez przesady.

Wkrótce znaleźliśmy się u niej, sam na sam.
Spojrzałem raz jeszcze: dobrze, że to ona.
Wybór był trafiony, jak dla mnie: bez pudła.
W spojrzeniu łagodność; delikatność w ruchach.
Podobało mi się, jak zrzucała ciuchy.
Po godzinie, zgrzany, patrzyłem na sufit
I myślałem tępo, że *jesteśmy sami*.
Nie kocham jej, pewnie, lecz może w tej chwili

Więcej jest miłości, niż kiedy ty jesteś.
Z tą twoją pewnością, że ci się należy,
Choć ty tak, jak ona, nie potrafisz dawać.

II.

Być jak dwa bezlitośnie jebiące się psy,
Warczące z rozkoszy w miłosnym amoku.
Być niby szczepione w szaleństwie zwierzęta.
Pierdolić z miłością, zachlannie, w ekstazie.
I kochać z czułością wolną od niechęci.
Wbijać mięso w mięso, mięso w mięso, mięso
W mięso, a potem: unosić się w ciszy,
Na powierzchni łóżka. Jak gdyby w powietrzu.
Z daleka od ciała z jego bilionami
Ruszających w życie, ginących komórek.
Z daleka od miłości i od nienawiści.
Być jak psy zdyszane, leżące gdzieś w słońcu.

III.

Mijamy się chcąc nie chcąc. Na ulicy. Obcy.
Bez imion i nazwisk. Szczęśliwie nietrwali.
Dzień w dzień. Miesiącami. Rok po roku. Stale
Obserwując chłodno bezwzględny teatrzyk.
Ach, z jaką dyskrecją, z jaką nonszalancją,
Gdy przechodzi obok pełna kocich ruchów
Odwraca się, żebym mógł patrzeć swobodnie
Na te jej dwa skarby, o których jak mówi?

Cytrynki? Drażniątka? Różowe jabłuszka?
Przed lustrem je pieści, gdy jest w domu sama,
Czy tylko z kochankiem, ceniącym jej striptiz?
Szczęśliwiec, wybrany przez pogodnych bogów,
Błogo nieświadomy ani jednej chwili.
Niezdolny, by prosić, żeby trwała dłużej
Niż jest mu potrzebne, gdy chce przy niej skończyć.
Powiedzmy, że trzeba tu szczypty ironii,

By myśleć, że ona może mnie w nim widzi.
Tej mi nie brakuje. Bez czułości
Myślę o jej zmarszczkach, nadziejach i stratach;
O tym, że zmieniła się nie mniej ode mnie
I że już inaczej patrzemy na młodszych.
Tymczasem tak skromnie ona spuszcza oczy,
Jak gdyby tuż obok nie było nikogo.
I zaraz, w powtórce, ruch w kierunku pustki.
Patrzę. Ćwiczę zachwyty, współczucie i smutek.

IV.

Oddajesz się robieniu delikatnych rzeczy.
Każdą czynność dzisiaj wykonujesz wolniej.

Moja skóra jest duszą na powierzchni ciała.
Na moment widzialna, dająca się dotknąć.

Na moment widzialna, dająca się dotknąć.
Twoja skóra jest duszą na powierzchni ciała.

Każdą czynność dzisiaj wykonuję wolniej.
Oddaję się robieniu delikatnych rzeczy.

Epilog. Według Kawafisa

*O wielkiej, dożgonnej miłości słuchaj wzruszony i w lęku,
Jak temu, kto kochał, wypada. Ale nie zapominaj,
Jeżeli miałeś to szczęście, jak wiele jest z wyobraźni,
Gdy sprawy dotyczą kochania. To pierwsze.
Po drugie: pomyśl o sobie. A przede wszystkim przypomnij
Te wszystkie chwile pomniejszych i nie tak znowu chwalebne,
Których się nazbierało i które sprawiły ci radość.
Pełne emocji. Zmysłów. Z pragnienia całe i żądzy.
Nie było pisane nigdzie, byś musiał z nich rezygnować.*

Błękitna różyczka

Trze podbródek. Nie wie, czy o to chodziło.
W sumie cipka wporzo. Ale żeby zaraz
Przechodzić do gadki o planach na przyszłość,
No, to już przesada. Przynajmniej dla niego.
Jednak, z drugiej strony, naprawdę jest słodka.
I z przodu i z tyłu. Ma też niezłe ssanie.
Jeszcze jakiś miesiąc będzie się z nią bujać,
A potem na kawę – i niech się popłacze.

To jedna z historii. Ale są i inne.
Wziął raz trzy. Z ulicy. Niższa była w typie,
Z profilu... Nieważne. Też miała niewielki
Tatuaz nad kostką: błękitną różyczkę.
Jakby nieco większą. Poczul suchość w ustach.
Poczul, że mu staje. Zamrugał. Odchrząknął.
Skrzywił się i burknął, by została na noc.
A potem ta mała. Trochę przez przypadek.

Jej głos, gdy się śmiała, też nieco podobny.
Dlatego istniała – przez niecały tydzień.
Myślał, że bez sensu bawić się nią dłużej.
To jeszcze nie wszystko, niezupełnie wszystko.
Są jeszcze te noce. Coraz bardziej zimne.
Bez snów. Z wygaszeniem całkowitym mózgu.
Ulga po miesiącach niespania w ogóle.
Co się da – upraszcza. I jest mu z tym dobrze.

Ulga po miesiącach kłopotliwych puent.
Trze podbródek. Dzisiaj może znowu zaśnie.
I będzie gdzie indziej. W jakimś śmiesznym *dawniej*.
Przed wypatroszeniem. Stąd ten chłód i łatwość.
Stąd te gry. Ta rzeźnia. To rozćwiartowanie.

Piosenka agnostyka

Ona klęczy bądź leży. On nad nią, w ekstazie
Stoi, wali konia, wzdychając i jęcząc.
Ta scena ma w sobie coś religijnego.
Gdziekolwiek jest miłość, tak muszą wyglądać
Jej święte obrzędy. Bez zbędnego słowa.
Bez żadnego wstydu. Tylko on i ona.

Jak ci tutaj; nadzy. Uchwyceni w kadrze.
W reżyserowanym, zawodowym porno.
Jeżeli naprawdę gdzieś zdarzyć się może
Coś tak uczciwego i z równym wyczuciem
Chwili, jak ten język sunący po mosznie,
Kiedy on dochodzi i już niemal krzyczy,

Musicie mi koniecznie opowiedzieć o tym.
Wysłucham w skupieniu. Nie wiem, czy uwierzę.
Lecz to nieistotne. Wysłucham szczęśliwy.

Między słowami

Podkładasz się, klębuszku. Spalasz, latarenko.
Smakujesz goryczką – nie ma w tym ekstazy.

I zjawia się ciemność, mimo koncentracji.
Przypadkiem w ten sposób, chociaż mógł być każdy.

Jeżeli to miłość, już nie ma miłości.
Jeżeli to miłość, spróbuj ją wyrazić.

Gdy śmierć jest uczuciem jedynym na serio,
Nie skrzywdzisz nikogo, przynajmniej od razu.

Sceny żądz ludzkiej i żądz zwierzęcej
Pozwalają wliczyć kolejne dupczonko

W poczet zrzążeń losu, na niczyje konto –
I zjawia się pustka, lecz bez ostentacji,

A nad estetyką nie zachodzi słońce:
Rozświetlone plaże, bursztynowy piasek.

Wynaleźć intymność – powiedz, że to łatwe.
Powiedz, że to łatwe, klębuszku ekstazy.

Wieczne posuwanie zafunduj im, Panie,
I światłość wiekuista niech ich dyma. Amen.

Powiedz, że to łatwe, klębuszku ekstazy.
A jeśli to miłość, spróbuj ją wyrazić.

Pierdol się, zajączku

Pierdol się, zajączku, choć cel tak jałowy.
Pierdol w święto zmarłych i aż po rok nowy.

Na szare futerko niech kruchy śnieg pada.
Niech kruchy śnieg pustką rysuje po śladach.

Dymaj się, cukiereczku, skoro poszłaś sobie
Niczym pierwsza lepsza, nie będąc nic lepsza

Od brzydkiej tirówki, chrapiącej gdzieś w rowie,
W gęstwie jak majonez, w lepszczu powietrza.

Wal się, boża krówko, piersiasta jałówko,
Przecweloną wiele, bardzo wiele razy.

Kartka z życzeniami, a na niej obrazy,
Czy nie tego chciałaś, mała ciemna główko?

Spierdalaj, kwiatuszku. Spierdalaj, to znaczy
Żadnych mdłych pożegnań, clikiwości, rozpaczy.

Dymaj się, cukiereczku. Śliń palec fakowy
I ambitnie pierdol, choć cel tak jałowy.

Mój krytyk myśli, że mnie zna

Wierszorób. Grafoman. Pieprzona zagadka.
Naruchał się tych pierdów – i na co mu było?
Podobno był z niego zgrywus i jebaka.
Co laski widziały w takim wydymańcu?
Ech, machnąć ten tekścik i zapomnieć osła,
Z tym jego skomleniem do tej smętnej dupy.
Ona też musiała być zdrowo jebnięta,
Że mu tak dawała wciąż chodzić na boki.

Pewnie, ścierwo, sama nie była nic lepsza.
Nie to, co ta mała, do której dziś idę.
Zapodam jej któryś z tekstów tego głąba.
Mogę iść o zakład, że po trzech lub czterech
Cała będzie mokra i rozłoży nogi.
Wierszorób. Grafoman. Pieprzona zagadka.
I chuj z nim, niech mała będzie wniebowzięta.
Te nogi, mój Boże. Chyba zwałę konia.
Albo nie, poczekam. Może mi obciągnie.

Alba

Przymierze zawierane ze światem co rano,
Kiedy niektórzy już głośno śmieją się i kochają,
A ty obracasz się w łóżku pustym od wielu nocy
I nawet nie masz ochoty na dziwki albo onanizm;
Przymierze to, odnawiane wedle niezmiennych reguł,
Mówi o tobie wiele, nawet jeżeli milczysz.
Mówi, że gdzieś jest granica intensywności smutku,
Za którą twoje więzienie wygląda nie gorzej niż wolność.

Przymierze zawierane ze światem co rano,
Tuż po przebudzeniu, pod nieokreślonym
Wpływem snu, fragmentu doskonalszej wizji,
Na mocy nigdy w całości niepoznanego prawa,
Obejmujące zgodę na szarość krzątaniny
I przypadkowość zdarzeń, zdaje się być tym wszystkim,
Na co się ostatecznie, z przymusu, godzimy,
Wciąż siląc się na wytrwanie, na przełamanie fali.

I zamiast porzucić nadzieję, wstępuje się w rzekę nagłych
Spraw, zaległości, długów – myśli się, czy to warto
Złudzenia żywić od nowa, skoro już od tak dawna
Jest pewne, że tu niczego nie da się doprowadzić
Do końca; lub że cokolwiek zmieni się, i że będzie
Wcale nie gorsze, wsparte błyskiem ironii, śmiechem –
Co stanie się czymś niezwykłym, niemalże czystym echem
Pomiędzy obcymi sobie – w zbliżeniu maksymalnym.

Rachunek wystawiany własnemu życiu co rano
Jest ostatecznym aktem wolności i sprzeciwu,
Którego nie może spłacić przypadkowa radość,
Chwilowe zauroczenie, wrażenie, że będzie lepiej.
Dlatego to tajne przymierze tak wiąże i tak niszczy
I z taką pogardą każe patrzeć na pierwsze ruchy.
I oczy przecierasz, patrzysz i znowu tak jasno to widzisz;
Tak jasno słyszysz te ptaki i myślisz, że oto znowu jest rano.

*W dupę i w paszczę wyrucham was, gnoje –
Ciebie, Furiuszu, i ciebie, Aureli!
Wyście, pod osąd wzięwszy pieśni moje,
O niemoralność oskarżyć mnie śmieli.
Poeta ma być obyczajny, zgoda,
Lecz w samych wierszach jest to niekonieczne.*

Katullus, Pieśń XVI. Do Aureliusza i Furiusza (fragm.)

*Ty, co swawolne żarty nienykwinnej pieśni
Chcesz czytać, porzuć zwykłą Latynom surowość.
Nie mieszka w tej kapliczce Westa, siostra Feba,
Ni bogini z ojcowskiej urodzona głowy,
Lecz stróż ogrodów z członkiem większym niż przystoi,
Co ma podbrzusze żadną nie okryte szatą.
Albo więc przykryj ptaszczem, co ma być zakryte,
Lub – skoro to oglądasz – czytaj i te wiersze.*

Priapea

Wulgarność jest równie oczyszczająca jak ekstaza, pod warunkiem, że jest w niej cierpienie.

Émile M. Cioran, Zmierzch myśli

Deszcz

Widział pan tego gościa, tego smutasa przy barze?
Ten to dopiero dostał od jednej dziwki ze Wschodu.
Ten to dopiero dostał w pizdę od Rosjaneczki
Co tylko w *żopu* ją *ciurlać* i nic, tylko *ciurlać w żopu*.
Bez jajec, taki znaleźli dla swojej miłości *volapük*.
Na własne uszy słyszałem, jak marudziła mu o to.
Złożyło się, sam już nie wiem, przy jakich okolicznościach
I co to tam dalej było, a zresztą – nie bardzo wypada.

Tak panu tu opowiadam, a pana to pewnie nudzi.
A tak w ogóle: pan chyba nie pierwszy raz w takim miejscu?
Nie pierwszy. I nie ostatni. Przychodzę, żeby posłuchać.
Podoba mi się też nastrój, te resztki apokalipsy.
Dlatego nadstawiam ucha i zbieram ludzkie historie,
Jak choćby ta o Rosjance i gościu, którego nie znam.
I czemu on dostał w pizdę? Zwyczajnie za nic, jak każdy?
To byłoby nawet śmieszne: małeńka lekcja cynizmu.

Każdemu zdaje się zawsze, że tylko on dostał w pizdę,
A tutaj proszę, zaskoczka: był taki, co dostał mocniej.
No i ta jego panna. Ze Wschodu. Kwalifikacje
Musiała mieć, co się zowie, skoro jechała ostro,
Na luzie, prosząc przy ludziach, by tamten *w żopu* ją *ciurlał*.
Nie wątpię, że ona także dostała od życia w pizdę.
Choć jaka dwuznaczność w tym zdaniu, jaka cieniutka ironia.
Ale nie takie grepsy podrzuca nam co dzień życie.

Nie jestem w tej chwili ciekaw, jak to tam z nimi było.
Po minie widzę, że facet bez steru od wielu dni płynie.
Lecz nic mnie to nie obchodzi; wypijam piwo i spadam.
Na dworze już lekko piździ; szczęście, że deszcz nie pada.

II

Zemsty życia

A teraz, uwaga, uwaga, rozbieram się do naga.

Janusz Głowacki

Nawrócenie

Uwielbiam czary mary i bara bara lubię.
Mam obcykane wszystkie nowe suczki w klubie.

Do drinków z wisienkami dodaję działkę koksu.
Usteczek nie wydymaj, za dużo w nich botoksu.

Soczyste baleciki, dupeczki jak landrynki,
To lepsze niż msza święta, piękniejsze niż godzinki.

Usteczka mogą klamać, lecz prawdę mówi szpara.
Uwielbiasz czary mary i kochasz bara bara.

Na chwilę zatem: para. A potem się zobaczy.
Powiemy sobie ciao, lub może gdzieś na daczce

Będziemy łapać fazę przez słodkie dwa tygodnie.
Ty jeszcze na coś czekasz? No, ściągaj, kurwa, spodnie.

Mięsiste baleciki, drapieżne, złe dziewczynki,
To zajebistsze od mszy, piękniejsze niż godzinki.

I kiedy myślę o tym, a wiatr za oknem wieje,
To staję się natchniony i głos mi biblijnieje.

I drży jak usta laski, co długo ciągnie druta.
I nie wiem, proszę księdza, czy za to jest pokuta?

Na jakie straszne piekło naraża się ta dusza,
Co lubi bara bara i chętnie tyłkiem rusza?

Pytania nieistotne, gdy wiatr za oknem wieje
I pieśń jest nad pieśniami, aż głos mi biblijnieje.

Święty

Ściągnąć kreskę i już dymać tak beztrosko,
Śmiejąc się, gdy prosisz: „Strzel mi patelażkę”.

Strzełę, nie ma sprawy. A ty mi obciagniesz.
Tobie będzie dobrze i mnie będzie dobrze.

Uczciwość kosztuje. Cynizm jest za friko.
Jesteś czystsza nawet od świętej panienki.

Nie plosz się, nie zmykaj, ja też jestem święty;
Tobie będzie dobrze i mnie będzie dobrze.

I kto wie, co jeszcze mogłoby zabołec:
Zabawna max stawka, o jaką wciąż gramy.

Do ciebie to mówię, choć pamiętam inne;
Ich szept wyuzdany: „A teraz mnie przeleć”.

Słów już nikt nie słucha. Za dobrze je znamy.
Szczerość jest do bólu i miłość jest także

Po to właśnie. Zobacz: tobie będzie dobrze
I mnie będzie dobrze. Oto są zagadki.

Oto są najnowsze meldunki, rozkazy;
Świętość na synapsach, rytuał ekstazy.

Trwaj chwilo! Tłocz w żyły ocean i zorze.
Nie mów nic, poczekaj. Jeszcze się wydarzy.

Poznasz smak świętości. Poczujesz jak parzy.
Komu ma być dobrze, gdy nam nie jest dobrze.

Tym to dobrze

„Tym to dobrze” – mógłby sapnąć z nienawiścią
Na nasz widok jakiś sfrustrowany kutas.
Skromny obywatel, dla którego wszystko
Skończyło się dawno, nim na dobre zaczął
Kumać coś z realiów, w jakie los go rzucił.
„Tym to dobrze, kuźwa” – jakoś tak by musiał

Jęknąć, widząc ciebie, szczęśliwą i nagą,
Leżącą tak blisko gotowej do pieśzczot
Dłoni i całego mnie, ubawionego
Tym przewidywaniem złośliwej reakcji.
Gdyby mogli wiedzieć, jak bardzo nie dbamy
O ich akceptację, jak bardzo nam wisi,

Czy nazwą miłością to, co nas tak cieszy,
Czy może powiedzą: „Sodoma z Gomorą.”
Mnie naprawdę mocno tylko jaja bołą,
Gdy kończymy razem – w tej chwili się liczy,
Że ty wdychasz głośno: „Czuję mięśnie piczy
Calej, czuję ciebie – i naprawdę dotąd

Nie sądziłam nigdy, że tak się pierdołą
Ludzie, z namiętnością. I że tak szczęśliwi
Mogą być – i chuj z tym, że ktoś im zazdrości.”
Choćby ktoś zmyślony. Nieobecny. Sprośny.
Ten, w którego głowie moglibyśmy gościć
Tylko jako wybryk, pomyłka fantazji.
Ktoś twierdzący z pasją, że w seksie się pości.

I ty, Cassiusie, wpadłeś w to na morde, ale na odwrót, bo tobie, i nie tylko tobie, pizza zaczęła pachnieć, bo Maca, ta przegoniana kotka, postanowiła, że love story zaczyna się teraz, kiedy krajobraz jest w szacie zimowej, sypie się teraz śnieżek i szadz i Maca zdecydowała, że musi mieć w maju majowe kocięta, a tam, w willi, jakże ci tego zazdroszczę, chodziłeś za nią po parceli, nawijany na jej zapach ciągnący się za pizza, i chodziłeś tak, głuptasie, nie jedliście i nie pili, trzy dni chodziłeś i popisywałeś się przed kotami, jakś to z ciebie zakochany amant, ona chodziła tu i tam, z parceli na parcele, ciągnęła cię za nią ta niewidzialna woń pizdy, co ja bym za to dał, głuptasie, aby i mnie porwała tak jak ciebie ta love story, i tak popisywaliście się przez trzy dni, ona przed tobą, ty zaś na odległość za nią, tak jak kiedy jeden samochód ciągnie drugi, trzy dni w tym sypaniu się złotego deszczu marzącej szadzi... pierdolili, nie jedli, nie pili... to jest także najwyższy szczyt ludzkiego życia, jedynie dzięki temu mogą być piękne kocięta i piękni ludzie... Dlatego i sam Goethe wolał pierdolić niż pisać te swoje mierszyki, a jeśli już – to tylko pochwalne ody ku czci brabin i mieszczańskich córek, jako podziękowanie za to, że tak pięknie, tak po ludzku sobie popierdolił...

Bohumil Hrabal, *Dobranocki dla Cassiusa*

Punkt widzenia

Och, nie ma o czym rozmawiać. Po prostu się dymaliśmy.
Nie róbmy z tego historii, jaką na pewno nie była.
Nie róbmy z tego legendy w stylu Tristana i Izold,
Kobieta w tamtej historii kochanka nie zostawiła.
Pustka blizn nie potrafi robić. Pustka blizn nie zostawia.

Och, nie ma o czym rozmawiać. Po prostu lubiłaś przez moment
Czuć ciężar mojego ciała, mój dotyk na oraz w sobie,
Lecz to się skończyło, minęło; po prostu się dymaliśmy.
A teraz nie ma już tego i pewne jest, że to koniec.
Pustka blizn nie potrafi robić. Pustka blizn nie zostawia.
Och, nie ma o czym rozmawiać. O pustce się nie rozmawia.

Po wszystkim

Wierzysz, że w całym tym seksie dzieje się tylko seks?
W tym seksie jest dużo bólu zadawanego latami
Przez inne kobiety i mężczyzn, którzy robili to z nimi,
Podczas gdy ktoś się mylił, sądząc, że one są z nim.

I nie myśl, że w całym tym seksie chodzi wyłącznie o czułość,
Bo znajdziesz w nim też nienawiść, jej lodowatą porcję.
Z drapieżną, wściekłą energią, która pozwala wytrzymać
I podnieść się już po wszystkim.
Natychmiast, gdy jest już po wszystkim.

Młasczenie pytonga

Wylaszczone zdziry, foczki kotłowane
Przez tępych mięśniaków obwieszonych złotem:
Ich dzwonki w komórkach, dialogi o tipsach,
Obrabianie dupy – cyniczne, z chichotem.
Już w wieku dymalnym, wesołe, beztroskie,
Takie, co odkrzykną: „Bujaj wory, ćwoku”;
Suczki przyuczane, grzeczne i pokorne,
Niemające równych w młasczeniu pytonga.

Trochę zabaw, pieszczot na świeżym powietrzu,
Minimum rozrywki – i każda jest wdzięczna:
Wie już, o co prosić i co może dostać.
Przyjść. Mówić o niczym. Pociupciać się trochę.
Z kimś tam. Bez miłości. Byle nie chciał zostać.
To psuje przyjemność. Bo co za przyjemność
Wygrywać przez nokaut zaraz w pierwszej rundzie
I tak szybko nie mieć o czym poplotkować.

Wylaszczone zdziry, suczki z marzeniami
O udach bez zmarszczek, trochę większych cychkach –
Ich jest miasto latem, ich są ulicami
Spływające w nicość fantazje i żądze.
Zmysłowość i pustka – perfekcyjna jedność
Osiągana przez nie – może budzić podziw.
Ironiczny. Szorstki. Zaprawiony smutkiem.
Zwykle tak: wpierw smutek, potem obojętność.

Dobór naturalny

Wyszczekane szczawie, pryszczate wyrostki
W słuchawkach na uszach, z iPodami w rękach,
W metrze, po południu. Naprzeciw nich siadła
Nastoletnia laska: uśmiech lachociąga.
Przymrużone oczy. Komórka. Torebka.
Top powyżej pępka, w którym sztuczna perła
Iskrzy się i puszy sztucznymi błyskami.
Rasowy tyłeczek i na pewno żadnej

Przeczytanej książki. Oto jest historia:
Dobór naturalny. Obraz pożądania.
Niezaspokojenia. Oto tych trzech patrzy,
Jakby ją tu zarwać, wygrzmocić porządnie;
Jak szybko rozegrać podkręconą piłkę?
Czuje, jakbym wiedział, o czym teraz myślą.
Patrzę i podziwiam drapieźniki w akcji.
Ona siedzi skromnie. Udaje, że nie wie.

Jakby nic wysiada na następnej stacji.
A oni zostają. Zgłuszeni. W amoku.
Ten z lepszym refleksem rzuca za nią okiem
I mówi tak głośno, że słyszymy wszyscy:
„Ale bym ją zerżnął.” Reszta tylko milczy.
Mnie muska cień bólu. Tylko to się liczy.
A on nawet nie wie, że nie warto wiedzieć.
Tylko to się liczy, że ona wieczorem

Uklęknie przed jakimś, spojrzy na rozporek
I wolno położy na nim swoją rękę.
I zrobi mu dobrze. A on powie: „Świetnie.”
I może obetrze jej wilgotne usta.
Te usta, którymi ona się uśmiechnie.

Pod słońce

„O takich dupeńkach możesz tylko marzyć” –
Stwierdził dobry kumpel, trącając mnie w ramię.
I – zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć –
Wykonał gest ręką, jakby walil konia.
„Myślę, że masz rację” – mruknąłem pod nosem,
Patrząc, gdzie mignęła ta, o której mówił.
O takich dupeńkach mogę tylko marzyć –
Skrzywilem się, widząc jej chód oraz profil,

Zaciskając szybko i bezwiednie pięści,
Wyczuwając nagle spiętą obcość w sobie.
Patrzyła pod słońce, lekko rozchylone
Usta dodawały jej dziwnej miękkości.
„Dobra, stary, chodźmy, przecież nic tu po nas” –
Jego głos dobiegał jakby wytłumiony.
Na moment runęła szklistość fasad, przesłonił:
Drobny ruch w powietrzu; nie do pokonania.

Noc

Na tym polega miłość do kobiety?
Że w kilkanaście lat po śmierci
Śni się zniecka, po prostu młoda.
Naga. Na łóżku. Wyzywająca.
Pieszcząca stopą moje genitalia
Pod bokserkami. Pulsujące. Żywe.

Że w lubieżności, jak się wydaje,
Już dorównała mojej wyobraźni.
I że na pewno nic nie oddali
Tej wątpliwości, że to być może
Ja dorównałem jej wreszcie po latach?
Czy to jest właśnie siła zwykłej więzi

Między umarłą i kochanym synem –
Matryca reszty nieudanych związków?
Budzę się nagle. W środku nocy.
I umiem tylko zadać kilka pytań.
Wstaję. Wypijam łyk zimnej herbaty.
Idę się odlać. Wracam i zasypiam.

Zima

*I przypomniałem nagle wszystkie błędy,
Chwile pustoty, szaleństwa zapędy,
I czułem serce tak mocno rozdarte,
Tak jej, i szczęścia, i nieba niewarte.
Adam Mickiewicz, *Śniła się zima**

„Pierdol bąka, a bąk brzdąka” – mówiła moja matka.
A babka dodawała: „Nie pal się, jak gównu w lampie.”
Z dzieciństwa, gdy jeszcze żyły, pamiętam, że jak z płatka
Obu im szło mówienie tego, co teraz w kompie
Z mozołem zapisuję, bo pamięć ledwo zipie
I tylko pewien jestem, że było też coś o cipie,
O dupie i – na koniec – z mądrości mojego tatki:
„Jak sobie, synu, pościelisz, tak się też wyśpisz.” Kwiatki

To były naprawdę niezłe. Liryka, że daj Boże.
Co jeszcze mam w pamięci? Przekleństwa, wódkę, noże.
Więc w sumie: nic niezwykłego. U wielu naprawdę gorzej
Działo się w tamtych latach. Tak myślę. No, być może
I tutaj ktoś nadwrażliwy dopatry się *patologii*.
A patologią wtedy były jedynie czołgi,
Stojące na ulicach. Żołnierze przy koksownikach,
Zacierający ręce. Świat tkwiący w ponurych wnykach.

I opowieści, w których nie brakło czarnej wołgi.
Na pewno nie te kobiety. Widmowe. Nierealne.
Drwiące w tej chwili ze mnie, mojego niedoświadczenia.
Z pośpiechu, w jakim przez lata starać się będę banalne
Rozmowy toczone przez nie zobaczyć bez tego cienia.
No dalej, wleź w to gówna. „Wleź w gówna po uszy,
To cię mróz nie ruszy.” To była ostra zima.
I wiem, że matka chciała dobrze rzucając mi te

Głupawe powiedzonka, nic nieznaczące zdania.
Robiłem wielkie oczy. Wzruszałem ramionami.
Wkładałem kominiarkę. Szalik i stare palto.
To była – nie, nie zmyślam – umowa między nami.
Lecz czego dotyczyła? Choć pamięć zrobi salto,
Nie dowiem się już nigdy. I tak, jak jest, zostanie:
Nieodtwarzalne głosy. Nieistniejące manie.
„Chodźmy na sanki, tato.” Czy ja to powiedziałem?
Zostają wątpliwości. Milczenie. Zaprzeczanie.

Szczęściarze

Pierdolił ją prawie co noc.
I było im razem dobrze.
Wiem, bo leżałem za ścianą,
Nie mogąc zasnąć od krzyku.

W dzień bil ją, kiedy się napił,
A ona mu oddawała.
Nie była od niego lepsza.
Bluzgała i tłukła talerze.

Lecz w nocy on ją pierdolił.
I było im razem dobrze.
Patrzyłem na niski sufit.
Myślałem, nie wiem już o czym.

O szkole. Podwórku. Kolegach.
O dniu, który mógł być jak teraz,
Gdy myślę, że chyba zazdroszczę,
Że mieli dla siebie te noce.

Piosenka świętującego

Znaleźć się, odnaleźć *wśród nocnej ciszy*
Obok trzech lub czterech naprawdę wiedzących,
W jakiej samotności rozchodzi się głos
I w jaką zapada, kiedy ktoś odchodzi.

Błysk

I.G.

1.

Usiadły we dwie na ławce
Zrobionej ze zwykłej deski.
Opartej na pniu. Siedziały

Pod drzewem, jak zwisłe czaple.
I jeszcze im brakowało
Butelki zimnego piwa.

2.

Zacęła młodsza: „Powietrze
Pachnie dzieciństwem”. Tej drugiej
Chciało się płakać. Chociaż

Już nie tak głośno. Myślała,
Że taka chwila („ławeczka”)
Jest przejmująca. Prawdziwa.

Smutna i gorzka. Spokojna –
Bo oto siedzą i każda
Ma jakieś zwykłe historie,

Nieujawnione tej drugiej –
A mimo to są tak blisko. Jedna
Grzebie patykiem w piachu,

Druga wspomina w półsłówkach –
I widać w tym cały obraz, całe życie.

3.

Starsza spytała o podróż. Sama
Wcześniej nie latała nigdy. „O czym
Myślałaś?” „O niczym. Po prostu,
Że sobie lecę. Ludzie są tacy sami

Wszędzie. Potem idziesz,
Gdzie cię nogi niosą. I jesteś”.

4.

I tak siedziały, patrzyły
Na pochylone brzozy.
Słuchały jak ptaki śpiewają,

Jeszcze po cichu, nieśmiało.
Nic w tym zdarzeniu nie ma
Z cudu, nadzwyczajności.

Lecz dla nich? Co znaczy nagle
Zrozumieć, że w tym pejzażu
Nigdy nie będzie zgody?

Tylko ten błysk, ta niewinność.

Po tylu wspólnie spędzonych

Przed snem wolą strzelić browca
Niż bzykać tę zaniedbaną
Mamuškę, z którą pół życia,
Jak mówią, psu w dupę poszło.
Z kumplami wolą na rogu
Postać i gadać bez sensu,
Bo lepszy wydaje się zawsze
Ten bezsens, co bardziej jest swojski.

Ich żonom też już się nie chce,
Powiedzmy szczerze, od dawna
Nadstawiać dupska, gdy nagle
Ogarnia ich mała chęćka.
Gdzieś w domu schowane mają
Coś z serii *Wielkie miłości*
I ukochany wibrator,
Wciąż lepszy od męża-półglówka.

Rodzą się, rzną, odchodzą:
Czy jest coś gwałtowniejszego?
Jeżeli tak ich zapytać,
Nie rozumieją pytania.
Do tego wszystkiego czasem
Kochają lub nienawidzą.
I w kółko to samo. Ciągłe
Spędzają tak czas, dzień po dniu.

W niedzielę na obiad przychodzą
Tak samo zgnojone dzieciaki.
I wszyscy przez moment czują,
Że może naprawdę święcą
Właściwie ten jeden święty
Dzień, w którym każdy odpocząć
Powinien w zgodzie z tradycją,
W spokoju, miłości i szczęściu.

Legandy tej okolicy

Zimne pocałunki znoszą się nawzajem.
Życie miasta nocą to nie pieśń miłosna.
Chuj nie ma być „wielki”; chuj ma być *fikuśny*.
Nazwałem cię czyścem. Ale to nieprawda.

Studium pewnej kariery

Swój status rozpatrzył na zimno,
Więc przepierdalał czas,
Snując się w dresie po domu,
Żrać, pierdząc i oglądając
Głupawe filmiki w necie.
Rechocząc z najobrzydliwszych,
Najbardziej plugawych gagów,
Nie myśląc o garach w zlewie
I srając na wszelkie formy.

Do tego dzień w dzień kilka browców:
Królewskie, Warka lub Mocne,
Jak gdyby jedynie z prolami
Chciał trzymać pozorną sztamę,
Od kiedy zrozumiał, że nie ma
Dla niego już nic – i nie będzie;
Od kiedy zobaczył bez złudzeń,
Jak żadne są możliwości.

Na chuja mu były te studia,
Lata po bibliotekach;
Od książek dorobił się tylko
Tych iluś tam minus dioptrii.
I niepotrzebne starania,
By wyrwać się z tego świata,
Co płynął mu w genach, formując
Porażki, upadki i twarz.

Te prace za wyliz jaja,
Jak zwykle dla humanisty.
Pogarda ludzi. W ich oczach
Wciaz bycie zalosnym fiutem
Bez klasy i z problemami
Za pare marniutkich stówek.
Z lekami w stylu biedoty,
Gdy widzi sie znów na krawędzi.

Codzienne iskanie z geniuszu.
Parodia twórczego życia.
Wieczorne bilansy klęski.
Sącząca się jadownicie
Żaloba po nienasyconej,
Żalosznej, gorzkiej próżności.
Po latach głupich nadziei –
Podsumowanie strat.

Od czasu do czasu ktoś mówił,
To może najzabawniejsze,
Że widzi, jak jego kariera
Rozwija się, rzuca blask.
Dla niego była to fikcja,
Żaloszny bład perspektywy;
Dla niego, jak on to widział,
Nie było już żadnych szans.

I żadnej dla siebie litości,
Tkliwego patrzenia w przeszłość,
Życzliwych, skupionych myśli;
Jedynie przed siebie: w nic.
W graniczną, laskawą ciemność,
Chłonącą ludzi wśród dni,
Gdy łączyć zaczyna ich coś,
Czego tu nigdy nie było.

Zemsty życia

Zostawić *zemstom życia*, jak mówi Pavese,
Wszystkich tych pokurwionych, udających dobroć.
Chodzić po swoim mieście, obserwując chłodno
Wesołe życie kalek – chytrych niesłuchanie!

Nućmy

1.

Szampański nastrój, wyborne *entré*.
Nie strzelaj zdziwka, kiedy świat znów drze
Z ciebie lacha i masz się z pyszna jak talerz
Skwaśniałej salátky z kaparów.

Nozdrza drżące przy każdym oddechu,
Plus doszczętnie skutaszony mózg,
Oto efekt nieskutecznej maseczki
I komedia na otarcie łez.

2.

Dalej lecą historyczne rólki
W dekoracjach frymuśnego balu,
Wystawnego jak łoża nad bieżnią
Pełną gibkich, muskularnych sprinterów.

Za chuja pana nie kumam
I czemu ty znowu z tym do mnie.
Nie dorabiaj już piździe uszu.
Miłość zwycięży ten *shit*.

3.

Patrz, czy nie kpią, że bejbe na haju
Lansowało się na niewydymkę.
Słuchanie muzyki we dwoje
Niekoniecznie jest bardzo intymne.

Platoniczne, ponętnie niewinne
Są na zawsze misterne wieczory.
Nućmy solo naprawdę: *Don't worry*.
I ponownie, bez końca: *Don't worry*.

Księga Powtórnego

Był samotnym człowiekiem. Cenił pornografię.
W szufladzie trzymał miękkie i twarde świerszczyki.
Nieśmiały. Delikatny. Serfował po necie,
Nie pragnąc bliskości, tylko takiej ciszy,
W której to wyczerpanie, to znikanie ćwiczyć
Można by mniej dotkliwie. Pogrywając z pechem.

Nikommu nic do tego. Wzruszyłby ramionami,
Gdyby tak w grobie, gnijąc, miał wciąż prawo głosu.
Że kogoś przypominal? Czas sra powtórkami.
Choć pewnie by się zdziwił, że tamten coś pisał.
Że zostały po nim papiery do dzisiaj
Budzące odrazę. Skandaliczne wiersze.

Dreszcz wstrętu. Ohyda. Próby pocieszenia.
Jest, jak jest. I tyle. Nie będzie zbawienia.
Zmartwychwstania. Cyrku z wiecznymi karami.
Martwi będą martwi. Jak ten ekran nagi,
Na którym kobieta schodzi wraz z mężczyzną
Kilka szybkich pięt w skali ewolucji

Do poziomu żądy miliarda komórek,
Gdzie niemal możliwe wydaje się szczęście.
Innych, obcych, młodszych na mgnienie dotyczy
Ten radosny pasaż, naturalne przejście
Ze stanu zdziwienia w głupio euforyczne
Drażnienie naskórka. Iluzja wytchnienia.

Zwyczajny do bólu. Bez wielkich ambicji.
Nigdy nie chciał trwale zapisać imienia,
Którego nie wybrał. W żadnej złotej księdze
Falszywej pamięci. Na nietrwalej wstędze.
Wszystko jedno, myślał. I nie ma znaczenia,
Że zjawi się jeszcze, kto taki sam będzie.

Con amore

Poszliśmy się kochać. Z czułością. Nieśmiało.
Nie para szczeniaków, spłoszonych przez nagość,
Gubiących sens gestów, całego spotkania.
Też nie staruszkowie, którym już z kochania
Wspólne kołysanie, podzwonne zostało.
Dwoje w średnim wieku. Gotowi na radość.
Wirtuozi. Pewni, czym mogłaby słabość
Skończyć się. Jak zmylić. Oszolomić. Zranić.
Zawsze *con amore*. Klasycznie zabrzmiało.

Poszliśmy się kochać. Z czułością. Nieśmiało.
Czarować i pieścić, odnajdując *freestyle*.
Udając odkrywców z legendarnych wypraw.
W łóżku i poza nim. Pragnąc tego bardzo.
Patrzac, co za *blitzkrieg*. Szalona konkwesta.
Nie zabrakło wyznań. Ich stała top lista.
Piosnka unisono. Natchniony czas darów.
I jazda po bandzie – sprawa oczywista.
Poszliśmy się kochać. Z czułością. Nieśmiało.

Od autora

Tego, coś dotąd czytał, pisać miałem wstępy (...).

C. K. Norwid, *Do Walentego Pomiana Z.*

Motto do „Wróbelka” podaję w przekładzie Anny Świderkówny. Motto do „Morfinowych fikcji” podaję w przekładzie Joanny Jabłońskiej-Bayro. Motto do „Magii (i romantyczności)” podaję w przekładzie Roberta Ginalskiego. Motto do „Ćwiczeń praktycznych z zachwyty i smutku” podaję w przekładzie Juliana Tuwima. W „Prostej historii” wykorzystałem patent Haliny Poświatowskiej, która pisała o Izold, a nie – Izoldzie. W „Dalej nic” kilka zwrotów z „Elegii osiemnastej” Propercjusza można znaleźć, korzystając z tłumaczenia Mieczysława Brożka. Wers „Zostawić zemstom życia, jak mówi Pavese” z „Zemst życia” nie zaistniałby, gdyby nie „Rzemiosło życia” Pavese w przekładzie Aliji Dukanovića. W „I potem nie mówić” wykorzystałem zdanie Jamesa Joyce’a (on wziął je ponoć z Hawthorne’a). W kilku miejscach są jeszcze inne ukryte cytaty czy aluzje – ich wytropienie zostawiam miłośnikom takich zabaw. Cytat „Pieśni XVI. Do Aureliusza i Furiusza” podaję w przekładzie Michała Urbana. „Priapea” przełożył Jerzy Ciechanowicz. Cytat ze „Zmierzchu myśli” podaję w przekładzie Anastazji Dwulit. Hrabala cytuję w przekładzie Andrzeja Czcibora-Piotrowskiego. Epilog do „Ćwiczeń praktycznych z zachwyty i smutku” jest swobodnym naśladownictwem wiersza Konstandinosa Kawafisa „Słyszając o miłości”, dokonany przeze mnie w oparciu o przekład Zygmunta Kubiaka. Dziękuję Państwu za wdzięcznie symulowaną uwagę.

J.W.

Spis wierszy

I

Dolce stil nuovo

Wróbelek	7
Piękno jasnych sytuacji	8
Edukacja sentymentalna	9
Gnoza	10
Szron	11
I potem nie mówić	12
Ta piękna, kobieca dojrzałość	13
Inaczej	15
Magia (i romantyczność)	16
Serduszko	17
Piosenka o pięknej agonii	18
Miło	19
Pierwsza miłość	20
Delikatność	22
Wzajemność	23
Morfinowe fikcje	24
Dalejnic.....	25
Ćwiczenia praktyczne z zachwyty i smutku	26
Epilog. Według Kawafisa	30
Błękitna różyczka	31
Piosenka agnostyka	32
Między słowami	33
Pierdol się zajączku	34
Mój krytyk myśli, że mnie zna	35
Alba	36
<i>W dupę i w paszczę wyrucham was, gnoje</i>	38
Deszcz	39

II

Zemsty życia

Nawrócenie	42
Święty	43
Tym to dobrze	44
<i>I ty, Cassiusie, wpadłeś w to na morde</i>	45
Punkt widzenia	46
Po wszystkim	47
Młazczenie pytonga	48
Dobór naturalny	49
Pod słońce	50
Noc	51
Zima	52
Szczęściarze	54
Piosenka świętującego	55
Blysk	56
Po tylu wspólnie spędzonych	58
Legendy tej okolicy	60
Studium pewnej kariery	61
Zemsty życia	63
Nućmy	64
Księga powtórnego	65
Con amore	67
Od autora	69

